

JOHN GRISHAM WSPÓLNIK



ALBATROS

Rozdział 1

Znaleźli go w Ponta Porã, miłym brazylijskim mieście położonym w okolicy, którą ze względu na bliskość Paragwaju nazywa się Pograniczem.

Odkryli, że mieszka w ocienionym ceglany domu na Rua Tiradentes, szerokiej alei wysadzonej drzewami, gdzie bosonodzy chłopcy kopią piłkę na rozpalonym słońcem chodniku.

Odkryli, że jest sam – na ile mogli się zorientować – choć podczas tych ośmiu dni, kiedy go obserwowali, do domu wpadała o różnych porach służąca.

Odkryli, że żyje wygodnie, mimo że do luksusów było daleko. Skromny dom mógłby należeć do miejscowego sklepikarza. Samochód, volkswagen garbus z 1983 roku, wyprodukowano w São Paulo jak milion jemu podobnych. Czerwone czyste auto wypucowane na błysk. Pierwsze zdjęcie zrobili mu, kiedy woskował je tuż za bramą na krótkim podjeździe.

Był teraz o wiele chudszy, na pewno sporo zrzucił od czasu, kiedy go ostatnio widziano i ważył te swoje sto cztery kilogramy. Miał ciemniejsze włosy i skórę, silniejszy zarys szczęki, nos odrobinę bardziej spiczasty. To nieco zmieniało wygląd twarzy. Nie pożałowali pieniędzy, by wydobyć co

trzeba od chirurga w Rio, który dwa i pół roku wcześniej przeprowadził operację plastyczną.

Znaleźli go po czterech latach żmudnych, pilnie prowadzonych poszukiwań, po czterech latach podążania śladami, które prowadziły donikąd lub nagle się urywały, zdobywania fałszywych informacji i topienia w błocie sporych pieniędzy – czystych pieniędzy na tropie brudnych. Tak się przynajmniej zdawało.

Ale w końcu go znaleźli. I czekali. Z początku mieli chęć zgarnąć go od razu, odurzyć i przeszmugłować do kryjówek w Paragwaju, schwycić go, zanim ich zauważy albo wzbudzą podejrzenia kogoś z sąsiadów. W euforii po odkryciu go rozważali natychmiastowy atak, ale po dwóch dniach uspokoili się trochę i przyczaili. Wałęsali się to tu, to tam po Rua Tiradentes, ubrani jak tutejsi mieszkańcy, popijając w cieniu herbatę, unikając słońca, jedząc lody, zagadując dzieciaki i obserwując jego dom. Śledzili go, kiedy jechał do centrum po zakupy, i sfotografowali z drugiej strony ulicy, wychodzącego z apteki. Podeszli do niego bliżej na targu i słuchali, jak rozmawia ze sprzedawcą. Świetny portugalski, z leciutkim obcym akcentem. Jakby był Amerykaninem albo Niemcem, który wyuczył się doskonale tego języka. Szybko zrobił zakupy i wrócił do domu, gdzie zamknął za sobą bramę. Jego krótka wyprawa zaowocowała kilkunastoma świetnymi zdjęciami.

W poprzednim wcieleniu biegał, choć na kilka miesięcy przed zniknięciem zdecydowanie mniej, przez co solidnie przytył. Teraz był potwornie chudy – wręcz chorobliwie – nie zdziwili się więc, że znów biega. Wychodził, zamykał za sobą bramę i ruszał powolnym truchtem po chodniku Rua Tiradentes. W dziewięć minut pokonywał pierwsze półtora kilometra po prowadzącej prościutko ulicy aż do miejsca, gdzie domy stały już coraz rzadziej. Na skraju miasta zaczynała się droga zwirowa. Jakies siedemset metrów dalej przyspieszał, w pięć

minut robił kilometr i był już nieźle spocony. W październiku w południe temperatura sięgała dwudziestu sześciu stopni, a on biegł coraz prędzej, kiedy mijał małą klinikę pełną młodych matek i niewielki kościół wybudowany przez baptystów. Z nieutwardzonej nawierzchni wzbijał się pył, gdy oddalał się od miasta, ciągle nabierając tempa.

Takie bieganie to poważna sprawa. Byli zachwyceni. W ten sposób Danilo sam wpadnie w ich sidła.



Następnego dnia po tym, jak go wytropili, Brazylijczyk Osmar wynajął mały obskurny domek na skraju Ponta Porã. Wkrótce nadciągnęła tam reszta grupy. Było w niej tyłu samo Amerykanów co Brazylijczyków. Osmar wydawał polecenia po portugalsku, a Guy powarkiwał po angielsku. Osmar, który znał oba języki, stał się oficjalnym tłumaczem zespołu.

Guy, robiący wrażenie byłego agenta FBI, przyjechał z Waszyngtonu. Został wynajęty do poszukiwania Danny'ego Boya, bo taką ksywkę nadali Danilowi. Guy był uznawany za geniusza pod pewnymi względami i wyjątkowy talent pod innymi, choć jego przeszłość stanowiła dla wszystkich wielką zagadkę. Już piąty rok pracował nad tym odnawianym co dwanaście miesięcy zleceniem. Za uwieńczone sukcesem polowanie czekał go niezły bonus. Świetnie to maskował, ale zaczynał już pękać pod presją, że tak długo nie potrafi się wywiązać z powierzzonej mu misji.

Cztery lata, trzy i pół miliona dolarów i wszystko na nic.

Ale teraz wreszcie go znaleźli.

Osmar i jego brazylijska banda nie mieli pojęcia, jakich grzechów dopuścił się Danny Boy, lecz każdy głupi by się domyślił, że zniknął z górą pieniędzy. A Osmar, choć był bardzo ciekaw, o co chodzi, szybko pojął, że lepiej o nic nie pytać. Guy i jego amerykańscy koledzy najwyraźniej nie mieli zamiaru puścić pary z ust.

Powiększone odbitki zdjęć Danny'ego Boya porozlepiano na ścianie w kuchni brudnego domku, gdzie studiowali je ponurzy mężczyźni o zimnych spojrzeniach. Paląc mocne papierosy, kręcili głowami. Szeptali między sobą i porównywali nowe fotografie ze starymi, tymi z jego poprzedniego wcielenia. Facet był drobniejszy. Nie pasował im ten zarys szczęki, inny nos. Krótsze włosy, ciemniejsza karnacja. Czy to naprawdę on?

Już to kiedyś przechodzili. W Recife, na północno-wschodnim wybrzeżu, dziewiętnaście miesięcy wcześniej. Wtedy też wynajęli lokum i oglądali zdjęcia na ścianie, zanim padła decyzja, by zgarnąć tamtego Amerykanina i sprawdzić jego odciski palców. Okazały się nie takie jak trzeba. Złapali niewłaściwego gościa. Nafaszerowali go mocniej narkotykami i porzucili w jakimś rowie.

Bali się kopać głębiej w obecnym życiu Danila Silvy. Jeżeli to naprawdę facet, którego szukają, ma mnóstwo kasy. A forsa zawsze działała cuda u tutejszych władz. Przez kilkadziesiąt lat znajdowali tu bezpieczne schronienie naziści i inni Niemcy, którym udało się dotrzeć do Ponta Porã.

Osmar chciał go od razu przyskrzytnąć. Guy zdecydował, że jeszcze poczekają. Czwartego dnia facet się ulotnił i w obskurnym domku zapanował na trzydzieści sześć godzin kompletny chaos.

Widzieli, jak wyjeżdża czerwonym garbusem. Spieszył się, jak zaraportowano. Gnał przez miasto na lotnisko, w ostatniej chwili wskoczył do małego samolotu rejsowego i zniknął. Zostawił samochód na jednym z tamtejszych parkingów. Nie spuszczali tego auta z oka ani na sekundę, pilnowali go dzień i noc. Samolot odleciał w kierunku São Paulo, po drodze miał cztery lądowania.

Od razu powstał plan, by wejść do jego domu i wszystko sprawdzić. Muszą tam być jakieś dokumenty. Pieniędźmi trzeba się zajmować. Guyowi marzyło się odnalezienie

wyciągów bankowych, zestawień kont, wszelkiego rodzaju papierów ułożonych porządnie w jakiejś teczce, które naprowadziłyby go wprost na ślad pieniędzy.

Ale nie był naiwny. Jeśli Danny Boy uciekł przed nimi, to przecież nie zostawiłby tu żadnych tego typu tropów. A jeśli naprawdę jest tym, kogo szukają, to na pewno dobrze zabezpieczył dom. Gdziekolwiek się teraz znajduje, będzie wiedział natychmiast, że otworzyli drzwi albo okno.

Czekali więc. Doprowadzeni do kresu wytrzymałości, przeklinali i kłócili się. Guy wykonał swój codzienny telefon do Waszyngtonu. Rozmowa poszła fatalnie. Obserwowali czerwonego garbusa. Każdy przylot sprawiał, że w ruch szły lornetki i telefony komórkowe. Pierwszego dnia było sześć lądowań. Drugiego pięć. W brudnym domku robiło się coraz goręcej i mężczyźni przesiadywali na zewnątrz. Amerykanie drzemali w cieniu cherlawego drzewka na podwórzu na tyłach, Brazylijczycy grali w karty pod płotem od frontu.

Guy i Osmar wybrali się razem na dłuższą przejażdżkę i obiecali sobie, że jak gość wróci, już im się nie wywinie. Osmar był pewien, że Danilo pojawi się tu znowu. Prawdopodobnie wyjechał tylko w interesach, cokolwiek to teraz dla niego oznaczało. Złapią go, zidentyfikują, a gdyby się okazało, że to znowu nie ten, po prostu porzucą go gdzieś w rowie i uciekną. Tak jak poprzednim razem.

Wrócił piątego dnia. Śledzili go od lotniska aż do Rua Tiradentes. Wszyscy cieszyli się jak szaleni.



Ósmego dnia obskurny domek opustoszał, gdy wszyscy Brazylijczycy i Amerykanie zajęli umówione pozycje.

Trasa miała dziewięć kilometrów. Przebiegał ją codziennie, jeśli tylko był w mieście. Wyruszał zawsze niemal o tej samej porze, bez koszulki, mając na sobie te same niebiesko-pomarańczowe szorty, znoszone najki i skarpetki pod kostkę.

Idealne miejsce znajdowało się cztery kilometry od jego domu, za niewielkim pagórkiem na żwirowej drodze. Niedaleko stamtąd Danilo zawracał. Tym razem dotarł na szczyt w dwadzieścia minut, kilka sekund przed czasem. Z jakiegoś powodu przyspieszył tempo. Może przez zbierające się chmury.

Mały samochód, który najwyraźniej złapał gumę, stał tuż za wzniesieniem, blokując drogę. Bagażnik otwarty, tył uniesiony. Kierowca, byczkowaty młody człowiek, udał zaskoczenie na widok chudego biegacza, który spocony, ciężko dysząc, zbliżał się do szczytu. Danilo zwolnił na moment. Więcej miejsca było z prawej strony.

– *Bom dia* – bąknął osilek, robiąc krok w kierunku Danila.

– *Bom dia* – odparł Danilo, zbliżając się do auta.

Kierowca wyciągnął nagle z bagażnika duży błyszczący pistolet i wymierzył nim w twarz biegacza. Ten zamarł ze wzrokiem utkwionym w broni. Z otwartymi ustami próbował złapać oddech. Kierowca miał silne dłonie i długie muskularne ręce. Chwycił Danila za kark i popchnął go brutalnie w kierunku wozu, zmuszając, by zgiął się wpół. Schował pistolet do kieszeni i obiema rękami władował Danila do bagażnika. Ten szarpał się i kopał, ale nie miał szans.

Osilek zatrzasnął bagażnik. Wyjął spod auta podnośnik, cisnął go do rowu i odjechał. Półtora kilometra dalej skręcił w wąską polną drogę, gdzie w napięciu czekali jego kompani.

Skrepowali nadgarstki Danny'ego Boya nylonową linką, na oczach zawiązali mu czarną przepaskę i wrzucili go do tyłu furgonetki. Osmar siadł po jego prawej stronie, inny Brazylijczyk po lewej. Ktoś zabrał mu klucze z szaszetki przychepionej rzepem do szortów. Danilo nie powiedział nic, kiedy włączono silnik i furgonetka ruszyła. Nadal pocił się i dyszał jeszcze ciężiej.

Po jakimś czasie zatrzymali się na piaszczystej drodze niedaleko jakiegoś pola.

- Czego chcecie? – spytał po portugalsku.
- Zamknij się – padła odpowiedź Osmara po angielsku.

Brazylijczyk siedzący po lewej stronie Danila wyciągnął strzykawkę z małego metalowego pudełka i z wprawą nappełnił ją silną substancją odurzającą. Osmar przycisnął mocno nadgarstki Danila do jego piersi, a ten drugi wbił mu igłę w ramię. Danilo stężał, szarpnął się, ale czuł, że to na nic. Rozluźnił się, zanim ostatnie krople substancji wpłynęły pod jego skórę. Oddech zwolnił, głowa zaczęła się kiwać. Kiedy broda opadła na pierś, Osmar delikatnie prawym palcem wskazującym podciągnął nogawkę szortów na prawej nodze Danila i odkrył dokładnie to, czego się spodziewał. Błądą skórę.

Dzięki biegom Silva był chudy, a także opalony na brąz.

Porwania w tym rejonie były na porządku dziennym. Amerykanie stanowili łatwy cel. Ale dlaczego on? Danilo zadawał sobie to pytanie, z trudem starając się unieść głowę. Oczy mu się kleiły. Uśmiechnął się i odpłynął w przestworza, robiąc uniki przed kometami, próbując chwycić się księżyców i szczerząc zęby, kiedy tak gnał przez kolejne galaktyki.



Wepchnęli go pod tekturowe pudła pełne melonów i innych owoców. Strażnicy na punkcie granicznym ledwie skinęli głowami, nie zadając sobie nawet trudu, by podnieść się z miejsc, i już po chwili Danny Boy znalazł się w Paragwaju. Zresztą w tym momencie było mu to całkowicie obojętne. Uśmiechał się błogo, gdy telepało nim po podłodze furgonetki na coraz bardziej wyboistej i stromej drodze. Osmar palił papierosa za papierosem i od czasu do czasu wskazywał, żeby jechać w tę czy tamtą stronę. Godzinę od uprowadzenia skręcili po raz ostatni. Chata stała w jarze pomiędzy dwoma wysokimi wzgórzami, ledwie widoczna z wąskiej nieutwardzonej drogi. Ponieśli bezwładnego Danila jak worek kartofli i rzucili na stół

w melinie, po czym Guy wraz ze specem od linii papilarnych od razu zabrali się do roboty.

Danny Boy głośno chrapał, kiedy zdejmowali mu odciski wszystkich dziesięciu palców rąk. Amerykanie i Brazylijczycy otoczyli ich ciasnym kręgiem, śledząc każdy ruch. Przy drzwiach stała w pudełku nieotwarta butelka whisky, na wypadek gdyby to naprawdę był Danny Boy.

Spec od linii papilarnych natychmiast poszedł do pokoju w głębi domu, zamknął drzwi, rozłożył przed sobą pobrane odciski i oświetlił je odpowiednio. Wziął te wzorcowe, które Danny Boy dał dobrowolnie, kiedy był o wiele młodszy, jako Patrick starający się o przyjęcie do palestry stanu Luizjana. Ciekawy zwyczaj to branie odcisków palców od prawników.

Oba zestawy były wyraźne i już na pierwszy rzut oka widział, że idealnie do siebie pasują. Ale pieczołowicie sprawdził każdy z dziesięciu palców. Po co się spieszyć. Niech sobie trochę poczekają. Delektował się tą chwilą. Wreszcie otworzył drzwi i ze zmarszczonym czołem omiótł surowym spojrzeniem pełne napięcia twarze wpatrzonych w niego ludzi. Potem się uśmiechnął.

– To on – powiedział po angielsku, a tamci zaczęli bić brawo.

Guy zgodził się, by napoczęli whisky, ale bez przesady. Czekало ich jeszcze sporo roboty. Danny Boy, wciąż nieprzytomny, dostał kolejny zastrzyk i ponieśli go do małego pokoju bez okna, za to z mocnymi drzwiami zamykanymi od zewnątrz. To tutaj miał być przesłuchiwany i torturowany, jeśli zajdzie taka konieczność.



Bosonodzy chłopcy grający w piłkę na ulicy byli za bardzo zaafelowani, by podnieść wzrok. Na breloczku Danny'ego Boya były tylko cztery klucze, więc furtkę przed domem dało się szybko otworzyć. Zostawili ją niedomkniętą. Wspólnik

włamywacza zaparkował wynajęty samochód cztery posesje dalej, obok dużego drzewa. Inny, na motocyklu, przystanął na drugim końcu ulicy i zaczął majstrować przy hamulcach.

Gdyby zaraz po wejściu zawył alarm, ten, który wszedł, mógł po prostu uciec, i tyle by go widzieli. Jeśli będzie cicho, zamknie się w środku i wszystko przejrzy.

Drzwi dały się otworzyć bez syren. Z ustawień na panelu wynikało, że alarm jest wyłączony. Wstrzymując oddech, postął nieruchomo pełną minutę, a potem zaczął obchód. Wyjął twardy dysk z komputera Danny'ego Boya, zabrał wszystkie płyty. Przejrzał dokumenty na jego biurku, ale nie znalazł nic poza zwyczajnymi rachunkami; niektóre były zapłacone, inne czekały na uregulowanie. Faks był tani i byle jaki, poza tym wyświetlał komunikat: awaria. Facet porobił zdjęcia ubrań, jedzenia, mebli, półek z książkami, stojaków pełnych czasopism.

Pięć minut od otwarcia drzwi uruchomił się cichy alarm na poddaszu i w prywatnej firmie ochroniarskiej jedenaście przecznic dalej, w centrum Ponta Porã, zadzwonił telefon. Nikt nie odpowiedział na wezwanie, bo dyżurny kołysał się błogo na hamaku na tyłach biura. Nagrana wiadomość z domu Danila Silvy informowała tego, kto mógłby to usłyszeć, że doszło do włamania. Minął kwadrans, nim komunikat odebrała żywa osoba. Kiedy dyżurny popędził do domu pana Silvy, po włamywaczu nie było już śladu. Podobnie jak po właścicielu. Zdawało się, że wszystko jest w porządku, nawet garbus stał grzecznie pod wiatą. Dom i furtka były zamknięte.

Pozostawione w biurze instrukcje jasno określały, co robić w takim przypadku. Nie należało wzywać policji. A tylko próbować najpierw skontaktować się z panem Silvą, a gdyby nie udało się go od razu zlokalizować, trzeba było dzwonić do Rio. I pytać o Evę Mirandę.

Guya rozpierała wielka radość, kiedy wykonywał swój codzienny telefon do Waszyngtonu. Przymknął oczy i z uśmiechem oznajmił: „To on”. Jego głos brzmiał o oktawę wyżej niż zwykle.

Po drugiej stronie nastąpiła chwila ciszy.

– Jesteś pewien?

– Tak. Odciski palców to potwierdzają.

Kolejna pauza, kiedy Stephano zbierał myśli, co zwykle trwało ułamek sekundy.

– A pieniądze?

– Jeszcze nie zaczęliśmy. Nie zdążył oprzytomnieć, jest naszprycowany.

– To kiedy?

– Dziś wieczorem.

– Jestem pod telefonem.

Stephano odłożył słuchawkę, choć mógłby rozmawiać godzinami.

Guy przysiadł na pniu za chatą. Roślinność była gęsta, powietrze lekkie i zimne. Dobiegały go ciche głosy uradowanych mężczyzn. Koniec męki, w każdym razie najgorsze już za nimi.

Właśnie zarobił dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Odnalezienie pieniędzy oznaczałoby kolejny bonus, a był pewien, że mu się uda.

Rozdział 2

W małym schludnym biurze na dziesiątym piętrze wieżowca w centrum Rio Eva Miranda ścisnęła obiema rękami słuchawkę, powtarzając powoli słowa, które przed chwilą usłyszała. Cichy alarm spowodował, że ochroniarz pojechał do domu pana Silvy, ale go tam nie zastał, choć samochód stoi na podjeździe, a dom jest zamknięty.

Ktoś musiał tam wejść i bezwiednie uruchomić alarm. Nie była to jakaś pomyłka, bo alarm nadal działał, kiedy ochroniarz dotarł na miejsce.

Danilo gdzieś przepadł.

Może wybrał się pobiegać i zapomniał o zasadach. Według ochroniarza, alarm włączył się godzinę i dziesięć minut temu. Danilo zawsze biegał niepełną godzinę. Dziewięć kilometrów, na każdy jakieś pięć, sześć minut, to najwyżej pięćdziesiąt minut. Nigdy inaczej. Znała jego zwyczaje.

Zatelefonowała do domu na Rua Tiradentes. Nikt nie odebrał. Spróbowała dzwonić na numer komórki, którą czasami nosił przy sobie, ale znów nie doczekała się odpowiedzi.

Trzy miesiące przedtem włączył alarm przypadkiem i oboje bardzo się wystraszyli. Ale od razu do niego zatelefonowała i wszystko się wyjaśniło.

Był zbyt ostrożny w tych sprawach, żeby podejrzewać go o zwykłą nieuwagę.

Znów próbowała dzwonić, z podobnym skutkiem. Powiedziała sobie, że musi być jakieś wyjaśnienie.

Wybrała numer mieszkania w Kurytybie, półtora milionowym mieście, stolicy stanu Parana. Byli raczej pewni, że poza nimi nikt nie wiedział o tym lokum. Zostało wynajęte na inne nazwisko. Służyło za magazyn i na niezbyt częste spotkania. Od czasu do czasu spędzali tam razem weekend. Dla Evy to było stanowczo za mało.

Spodziewała się, że i tu nikt nie odbierze, i nie myliła się. Gdyby Danilo tam pojechał, na pewno dałby jej wcześniej znać. Kiedy skończyła telefonować, zamknęła za sobą drzwi gabinetu na klucz i oparła się na nich, zaciskając powieki. Z korytarza dobiegały głosy wspólników i sekretarek. Pracowało tu obecnie trzydziestu trzech prawników. Była to druga pod względem wielkości kancelaria w Rio z oddziałem w São Paulo i Nowym Jorku. Odgłosy telefonów, pracujących faksów i kopiarek zlewały się w oddali w zgodny chór tętniącego życiem biura.

W wieku trzydziestu jeden lat Eva była tu jednym z doświadczonych wspólników z pięcioletnim stażem. Doświadczonym na tyle, że pracowała do późna i przychodziła nawet w soboty. Firmę prowadziło czternastu wspólników, ale wśród nich były tylko dwie kobiety. Zamierzała zmienić te proporcje. W gronie zatrudnionych tu dziewiętnastu prawników znalazło się dziesięć kobiet. Najlepszy dowód, że w Brazylii, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, kobiety wyrabiały sobie coraz mocniejszą pozycję w tym zawodzie. Eva studiowała prawo na Uniwersytecie Katolickim w Rio, który, według niej, był jedną z najlepszych uczelni. Jej ojciec nadal wykładał tam filozofię.

Upaął się, żeby po dyplomie w Rio kontynuowała studia prawnicze w Waszyngtonie, w Georgetown. Tam była

jego Alma Mater. Dzięki jego wpływom połączonym z jej imponującym wykształceniem, wyjątkową urodą i płynnym angielskim nie musiała długo zabiegać o uzyskanie atrakcyjnej posady w wiodącej kancelarii prawniczej.

Przystanęła przy oknie i nakazała sobie spokój. Teraz każda minuta była na wagę złota. Kolejne ruchy wymagały stalowych nerwów. Potem musi zniknąć. Za pół godziny miała spotkanie. Trzeba je odwołać.

Dokumenty były zamknięte w małej ogniotrwałej szafce. Wyjęła je i przeczytała od nowa kartkę z instrukcjami, które omawiali z Danilem wielokrotnie.

Wiedział, że w końcu go znajda.

Eva wołała nie brać tego pod uwagę.

Na chwilę odpłynęła myślami. Martwiła się o niego. Kiedy nagle zadzwonił telefon, aż drgnęła. Ale to nie był Danilo. Sekretarka powiadomiła ją, że czeka klient. Przyszedł wcześniej. Eva poleciła przeprosić go i uprzejmie przełożyć spotkanie na inny termin. I więcej jej nie przeszkadzać.

Pieniądze były aktualnie przechowywane w dwóch miejscach. W banku w Panamie i w holdingu na Bermudach. Pierwszym faksem zleciła natychmiastowy przelew elektroniczny z Panamy do banku na wyspie Antigua. Zgodnie z poleceniami zawartymi w drugim fakcie pieniądze przelane na Antiguę miały trafić do trzech banków na Wielkim Kajmanie. W ostatnim fakcie było polecenie przelania środków z Bermudów na wyspy Bahama.

W Rio dochodziła druga. Europejskie banki były już zamknięte. Musiała skakać po Karaibach przez kilka godzin, zanim reszta świata otworzy podwoje.

Instrukcje Danila były jasne, choć ogólne. Reszta zależała od niej. Początkowych przelewów miała dokonać według własnego uznania. Zdecydować sama, do którego banku ile pójdzie. Zrobiła sobie listę fikcyjnych firm, do których miały należeć te pieniądze. Tego spisu Danilo nigdy nie widział.

Dzieliła, rozrzucała, kierowała i przekierowywała. Ten tryb przeciwczyli wiele razy, ale bez wchodzenia w szczegóły.

Danilo nie powinien wiedzieć, gdzie są pieniądze. Tylko ona. Wszystko było w jej rękach, aby w krytycznej sytuacji przenosić je wedle uznania. Specjalizowała się w prawie handlowym. Większość jej klientów stanowili brazylijscy biznesmeni, którzy chcieli rozwijać eksport do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Rozumiała, jak działają rynki zagraniczne, znała prawo walutowe i bankowość. A czego nie wiedziała o transferach międzynarodowych, tego nauczył ją Danilo.

Popatrywała stale na zegarek. Od telefonu z Ponta Porã minęła już ponad godzina.

Kiedy przez faks przechodziła kolejna kartka, znowu zadzwonił telefon. To już na pewno Danilo. Zaraz opowie jakąś zwariowaną historię, która wszystko wyjaśni, i całe to zamieszanie okaże się zbyteczne. Może to był tylko próbny alarm, by przetestować, jak sobie poradzi w stresującej sytuacji. Choć on nie bawił się w takie gierki.

Dzwonił jeden ze współników, dość zbulwersowany, że Eva spóźnia się na zaczynające się właśnie spotkanie. Przeprosiła krótko i wróciła do faksów.

Z każdą minutą napięcie rosło. Danilo nadal się nie odzywał. Nie odpowiadał na jej kolejne telefony. Jeśli naprawdę go znaleźli, nie będą zwlekać z przymuszaniem go, by zaczął mówić. Tego bał się najbardziej. I dlatego musiała uciekać.

Półtorej godziny. Świadomość tego, co się dzieje, była przytłaczająca. Danilo zniknął, a przecież nigdy nie zrobiłby czegoś takiego bez uprzedzenia jej. Starannie wszystko planował, zawsze czujny w obawie, że go śledzą. A teraz spełniał się najgorszy scenariusz. Nie było czasu do stracenia.

Z publicznego automatu w lobby budynku Eva wykonała dwa telefony. Pierwszy do dozorczy jej domu w Leblonie, na południu Rio, gdzie mieszkali bogaci, a piękni szukali

rozrywek. Spytała, czy nie było do niej jakichś gości. Odparł, że nie, ale obiecał zwrócić na to uwagę i wszystkiego dopilnować. Drugi telefon był do biura FBI w Biloxi, w stanie Missisipi. To bardzo pilne, wyjaśniła tak spokojnie, jak to tylko było możliwe, starając się o nienaganny amerykański akcent. Czekala, wiedząc, że za chwilę nie będzie już odwrotu.

Ktoś porwał Danila. Przeszłość w końcu go dopadła.

– Halo? – odezwał się ktoś. Słyszała go tak wyraźnie, jakby znajdował się przecnicę dalej.

– Agent Joshua Cutter?

– Tak.

Zawahała się lekko.

– To pan zajmuje się sprawą Patricka Lanigana? – Doskonale wiedziała, że tak.

Moment milczenia po drugiej stronie linii.

– Zgadza się. A kto mówi?

Wytropią, że dzwoni z Rio, to zajmie nie więcej niż trzy minuty. Potem ich poszukiwania utoną w mieście liczącym dziesięć milionów mieszkańców. Ale i tak rozglądała się niespokojnie.

– Dzwonię z Brazylii – powiedziała zgodnie ze scenariuszem. – Porwali Patricka.

– Kto? – spytał Cutter.

– Podam panu nazwisko.

– No, słucham – rzucił zniecierpliwiony.

– Jack Stephano. Zna go pan?

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy Cutter próbował skojarzyć, o kogo chodzi.

– Nie. A kto to taki?

– Prywatny detektyw z Waszyngtonu. Prowadził poszukiwania Patricka przez ostatnie cztery lata.

– I twierdzi pani, że go znalazł?

– Tak. Jego ludzie go znaleźli.

– Gdzie?

- Tu, w Brazylii.
 - Kiedy?
 - Dzisiaj. Myślę, że mogą go zabić.
- Cutter zastanawiał się przez moment.
- Co jeszcze może mi pani powiedzieć?

Podawała mu numer telefonu Jacka Stephana w Waszyngtonie, odłożyła słuchawkę i wyszła z budynku.



Guy uważnie przerzucał dokumenty zabrane z domu Danny'ego Boya, starając się natrafić na jakiś ukryty trop. Na miesięcznym wyciągu z lokalnego banku widniało saldo: trzy tysiące dolarów. Nie całkiem o to im chodziło. Jedyna lokata była założona na sumę tysiąca ośmiuset dolarów. Debet miesięczny poniżej tysiąca. Danny Boy żył dość skromnie. Rachunków za prąd i telefon nie uregulowano, ale termin nie został jeszcze przekroczony. Kilkanaście mniejszych faktur było zapłaconych.

Jeden z ludzi Guya sprawdził wszystkie numery telefonów z wystawionego rachunku, lecz nie znalazł tam nic ciekawego. Inny przejrzał zawartość twardego dysku komputera i szybko przekonał się, że z Danny'ego Boya żaden haker. Odkrył długi dziennik z przygód w brazylijskiej głuszy. Ostatni wpis pochodził sprzed roku.

Już samo to, że papierów było tak mało, wydawało się bardzo podejrzane. Jeden wyciąg bankowy? Czy ktoś normalny trzyma w domu jedynie wydruk z ostatniego miesiąca? A co z poprzednim? Danny Boy musi mieć jakiś schowek poza miejscem zamieszkania. To wszystko idealnie pasowało do człowieka, który się ukrywa.

O zmierzchu Danny Boy, nadal nieprzytomny, został rozebrany do obcisłych bawełnianych majtek. Ściągnęli mu brudne buty do biegania i przepocone skarpetki, odkrywając stopy tak blade, że zdawały się świecić. Jego nowa ciemna

skóra była fałszywką. Położyli go obok łóżka na blacie zrobionym z grubej na dwa i pół centymetra sklejki. Wycięto w niej otwory i nylonową linką mocno przywiązano kostki, kolana, pas, pierś i nadgarstki, tak żeby nie mógł się ruszyć. Głowę docisnięto do blatu szerokim czarnym gumowym paskiem nałożonym na czoło. Torebka do kroplówki zwisała tuż nad jego twarzą. Rurka prowadziła do żyły na lewym przedramieniu.

Wbito mu drugą igłę. Zastrzyk w lewe ramię miał go wybudzić. Ciężki oddech pojmanego przyspieszył. Danny Boy otworzył oczy. Były czerwone i szklące. Przez chwilę wpatrywał się nimi w torebkę kroplówki. W polu widzenia pojawił się brazylijski lekarz i bez słowa zaaplikował mu kolejną iniekcję w lewe ramię. To był tiopental sodu, prymitywny lek stosowany niekiedy, by skłonić ludzi do mówienia. Surowica prawdy. Działał najlepiej, jeśli ktoś miał chęć coś wyznać. Idealny specyfik na wydobycie wszystkiego nie został jeszcze wynaleziony.

Minęło dziesięć minut. Danny Boy próbował poruszyć głową, ale na próżno. Widział może metr po każdej stronie. Pokój tonął w mroku, poza małym światelkiem w rogu, gdzieś za nim.

Otworzyły się drzwi, a potem zamknęły. Guy wszedł sam. Skierował się prosto do Danny'ego Boya, oparł palce na sklejkę i powiedział:

– Witaj, Patrick.

Patrick zacisnął powieki. A więc Danilo Silva to już przeszłość. Było, minęło. Zaufany druh przepadł na zawsze. A z nim rozwiały się nadzieje na proste życie na Rua Tiradentes. To miłe powitanie oznaczało, że stracił anonimowość, o którą tak bardzo się starał, którą tak bardzo sobie cenił.

Przez cztery lata często zastanawiał się, jak to będzie, kiedy go złapią. Poczuje ulgę? Pogodzi się z tym, że sprawiedliwości stanie się zadość? Będzie podekscytowany perspektywą

powrotu do kraju, by wreszcie zmierzyć się z nieuniknionym?

Nic z tych rzeczy! W tej chwili porażał go strach. Praktycznie nagi i skrępowany jak zwierzę, wiedział, że najbliższe godziny będą nie do zniesienia.

– Słyszysz mnie, Patrick? – zapytał Guy, nachylając się nad nim, a on się uśmiechnął.

Nie dlatego, że chciał, ale coś nagle wydało mu się zabawne i nie mógł się powstrzymać.

Lek robi swoje, zauważył Guy. Tiopental sodu to działający krótko barbituran, który należy stosować w precyzyjnie dobranych dawkach. Bardzo trudno ustalić, po jakiej delikwent będzie najlepiej przygotowany do przesłuchania. Zbyt mało, i opór nie zostaje złamany. Odrobina więcej, i gość traci przytomność.

Drzwi otworzyły się i zamknęły. Do pokoju wślizgnął się kolejny Amerykanin, by się przysłuchiwać, ale Patrick nie był w stanie go zobaczyć.

– Spałeś trzy dni – powiedział Guy. To było raczej pięć godzin, ale skąd Patrick mógł to wiedzieć? – Jesteś głodny? Chcesz pić?

– Pić – poprosił.

Guy otworzył małą butelkę wody mineralnej i ostrożnie wlał mu trochę w usta.

– Dzięki – powiedział Patrick i uśmiechnął się.

– Jesteś głodny? – zapytał Guy.

– Nie. Czego chcecie?

Guy powoli odstawił butelkę na stół i nachylił się nad jego twarzą.

– Ustalmy najpierw pewne sprawy. Kiedy spałeś, zdjęliśmy ci odciski palców. Wiemy dokładnie, kim jesteś, więc może darujmy sobie wstępne zaprzeczenia, dobrze?

– A kim jestem? – Patrick znów wyszczerzył zęby.

– Patrickiem Laniganem.

– Skąd?

– Z Biloxi, w stanie Missisipi. Urodzonym w Nowym Orleanie. Studia prawnicze na Uniwersytecie Tulane’a. Żona, sześćdziesięcioletnia córka. Zaginiony od czterech lat.

– Bingo. To ja.

– Powiedz mi, Patrick, przypatrywałeś się swojej ceremonii pogrzebowej?

– Czy to zbrodnia?

– Nie. Ale chodzą takie słuchy.

– Tak. Byłem tam. Bardzo się wzruszyłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że miałem tylu przyjaciół.

– Jak miło! Gdzie się ukrywałeś po pogrzebie?

– Tu i tam.

Jakiś cień wyłonił się z prawej strony i ręka, która wyregulowała coś przy rurce pod torebką kroplówki.

– Co to? – zapytał Patrick.

– Taki koktajl – odparł Guy, dając skinieniem głowy znak lekarzowi i ten się cofnął. – Gdzie są pieniądze? – zwrócił się z uśmiechem do Patricka.

– Jakie pieniądze?

– Te, które zabrałeś ze sobą.

– A, te.

Patrick odetchnął głęboko. Powieki mu się zamknęły, a ciało się rozprężyło. Kilka sekund, i jego pierś zaczęła wznosić się i opadać wolniej, w miarowym tempie.

– Patrick! – Guy potrząsnął go za ramię.

Ale nie było reakcji, tylko odgłosy głębokiego snu.

Dawkę od razu zmniejszono. Nie pozostawało im nic, tylko czekać.



Teczka FBI dotycząca Jacka Stephana zawierała jedynie podstawowe informacje. Były śledczy z Chicago. Dwa stopnie studiów w kryminologii. Dawniej z powodzeniem polował na wyznaczone przez organy ścigania nagrody, strzelec

wyborowy, samouk w dziedzinie poszukiwania zaginionych i szpiegostwa, w czym okazał się mistrzem, a obecnie właściciel podejrzanej firmy detektywistycznej w Waszyngtonie, która pobiera ogromne honoraria za poszukiwanie zaginionych i prowadzenie inwigilacji.

Za to na temat Patricka Lanigana mieli osiem pudeł. Tak jakby każda teczka prowokowała założenie następnej. Nie brakowało ludzi, którym zależało na odnalezieniu Patricka i sprowadzeniu go do kraju. I w tym celu wynajęto zespół Stephana.

Jego firma, Edmund Associates, zajmowała górne piętro w niewyróżniającym się niczym budynku na K Street, sześć przecznic od Białego Domu. Dwaj agenci obstawili lobby przy windach, kiedy dwaj inni wpadli do biura Stephana. Musieli szamotać się z grubą sekretarką, która stanęła im na drodze i utrzymywała, że pan Stephano jest teraz zajęty. Zastali go przy biurku, samego, gadającego radośnie przez telefon. Jego uśmiech zbladł, kiedy otworzyli z impetem drzwi i wyciągnęli odznaki.

– A to co znowu, do jasnej cholery! – zaprotestował.

Na ścianie za nim wisiała szczegółowa mapa świata z małymi błyskającymi punkcikami przyczepionymi na zielonych plamach kontynentów. Który z nich oznaczał Patricka?

– Kto cię wynajął do poszukiwania Patricka Lanigana? – zapytał pierwszy agent.

– To sprawa poufna – odparł detektyw z szyderczą satysfakcją. Przez lata pracował w policji. Trudno go było zastraszyć.

– Dziś po południu mieliśmy telefon z Brazylii – powiedział drugi agent.

Ja też, pomyślał osłupiały Stephano, choć rozpaczliwie starał się nie okazać zaskoczenia. Szczeka mu nieco opadła i aż się trochę przygarbił, kiedy gorączkowo myślał, co mogło

sprowadzić tu tych dwóch obwiesiów. Mówił tylko z Guyem. Z nikim innym. A na Guyu można było w pełni polegać. Nigdy w życiu nie pisałyby nikomu ani słowa, a już szczególnie nie FBI. Nie mogli dowiedzieć się tego od Guya, który dzwonił z górzystych okolic na wschodzie Paragwaju. Z komórki. Wykluczone, żeby ten telefon został wyłapany.

- Hej, jesteś tu? – zażartował drugi agent.
- Taaa – bąknął Stephano, który słuchał, ale nic nie słyszał.
- Gdzie jest Patrick? – spytał ten pierwszy.
- Może w Brazylii.
- Gdzie w Brazylii?

Stephano zdobył się na sztywne wzruszenie ramion.

- Nie wiem. To duży kraj.
- Mamy nakaz aresztowania go. Jest nasz.

Prywatny detektyw znów wzruszył ramionami, tym razem swobodniej, jakby mówił: „No i co z tego”.

- Dawaj go – zażądał drugi agent. – I to natychmiast.
- Nie mogę wam pomóc.
- Kłamiesz – warknął pierwszy.

Obaj stanęli przed biurkiem, patrząc na Stephana z góry i piorunując go wzrokiem. Mówienie wziął na siebie ten drugi.

– Na dole są nasi ludzie. Na zewnątrz też i za rogiem, i pod twoim domem w Falls Church. Będziemy śledzić każdy twój ruch, aż dostaniemy Lanigana.

- Świetnie. A teraz możecie wyjść.

– I nie rób mu nic złego, dobrze? Z przyjemnością przyskrzynimy ci dupę, jak tylko coś się stanie naszemu chłopakowi.

Wymaszerowali równym krokiem, a Stephano zamknął za nimi drzwi. W gabinecie nie było okien. Stał przed swoją mapą świata. Na Brazylii paliły się trzy czerwone punkciki, co niewiele znaczyło. Pokręcił powoli głową, kompletnie oszołomiony.

Spędził tyle czasu i wydał tyle kasy, starając się go wytropić.

W pewnych kręgach jego firma słynęła jako najlepsza. Brali forszę i po cichu załatwiali wszystko co trzeba. I jeszcze nigdy nie mieli wpadki. Nikt nigdy nie wiedział, na kogo poluje Stephano.